

Permanentny stan wyjątkowy

21 listopada 2010



Od Madrytu i Aten do Paryża i Bukaresztu przetacza się fala społecznego gniewu. Masowe strajki, demonstracje, okupacje i blokady dają świadectwo społecznemu buntowi i głębokiemu pragnieniu zmian. Ruchom protestu brak jednak spójnej strategii politycznej, koniecznej do odniesienia sukcesu. Czy oznacza to, że po raz kolejny ryzykujemy przegapienie okazji odrzucenia systemu, który doprowadził do globalnego kryzysu? Scenariusz ten jest wielce prawdopodobny, o ile nie zdecydujemy się na radykalizację postulatów. Slavoj Žižek twierdzi, że w obecnej sytuacji najbardziej pragmatyczne i odpowiedzialne wydaje się wysunięcie żądań, których realizacja wydawała się dotąd niemożliwa.

* * *

Wybuchające tego roku w całej Europie protesty przeciw polityce oszczędności – nie tylko w Grecji i we Francji, lecz w mniejszym zakresie także w Irlandii, we Włoszech, w Hiszpanii – ujawniły dwie fikcje. Pierwsza, stworzona przez władze i media polega na depolityzacji kryzysu: podjęte przez rządy cięcia budżetowe przedstawiano nie jako wybór polityczny, lecz jako techniczną odpowiedź na finansowe

imperatywy. Płynął z tego morał taki, że jeśli chcemy stabilizacji gospodarki musimy zacisnąć pasa. Z kolei strajkujący i manifestanci utrzymują, że zarządzane oszczędności to tylko narzędzie w rękach kapitalistów dążących do likwidacji resztek państwa opiekuńczego. W pierwszym przypadku Międzynarodowy Fundusz Walutowy jawi się jako sędzia, któremu leżą na sercu porządek i dyscyplina; w drugim – znów gra rolę sługi globalnych finansów.

GDZIE JEST PRAWDZIWA LINIA SPORU?

Choć każda z tych perspektyw kryje w sobie ziarno prawdy, obie są w istocie błędne. Strategia obrony europejskich przywódców pomija oczywiście fakt, że gigantyczny deficyt budżetu publicznego w wielkiej części spowodowany jest utopieniem dziesiątek miliardów w ratowanie banków, i że przyznanie Grecji kredytu służy przede wszystkim zwróceniu długów francuskim i niemieckim bankom. Europa pomaga Atenom tylko po to, żeby ratować prywatny sektor bankowy. Z kolei argumentacja niezadowolonych znów zdradza nędzę współczesnej lewicy – brak jej jakiegokolwiek programu, to tylko protest przeciw utracie społecznych zdobyczy. Utopia ruchu społecznego nie polega dziś na zmianie systemu lecz na przekonywaniu samych siebie, że uda się w jego ramach zachować państwo opiekuńcze. Ta defensywna pozycja prowadzi do trudnej do odrzucenia obiekcji: jeśli chcemy pozostać w ramach globalnego kapitalizmu, nie mamy wyjścia – musimy przystać na poświęcenia narzucone robotnikom, studentom i emerytom.

Jedno jest pewne: po dziesięcioleciach państwa opiekuńczego, kiedy cięcia budżetowe były ograniczone i zawsze towarzyszyła im obietnica powrotu do stanu normalnego, wchodzimy obecnie w gospodarczy permanentny stan wyjątkowy. Zaczynają się nowe czasy, czasy coraz mocniej zaciskanego pasa, coraz drastyczniejszego oszczędzania na zdrowiu, emeryturach i edukacji oraz rosnącej niepewności zatrudnienia. Przyciśnięta do muru lewica musi podjąć straszliwe wyzwanie i wytłumaczyć, że kryzys gospodarczy jest przede wszystkim kryzysem

politycznym, że nie ma w sobie nic „naturalnego”, bowiem istniejący system wynika z serii decyzji z istoty politycznych; mając przy tym świadomość, że tenże system, dopóki jesteśmy w jego ramach, podlega pewnej pseudo-naturalnej logice, której reguł nie sposób podważyć nie powodując gospodarczej katastrofy.

REFORMY STAŁY SIĘ NIEMOŻLIWE

Ułudą jest wiara, że permanentny kryzys będzie miał ograniczone konsekwencje i że europejski kapitalizm wciąż będzie w stanie gwarantować większości mieszkańców Europy przyzwoity poziom życia. Jaka zadziwiająca koncepcja „radykałności” – liczyć tylko na zbieg okoliczności, by złagodzić straty spowodowane przez kryzys... Rzecz jasna nie brak nam antykapitalistów. Demaskowanie okropności kapitalizmu jest na porządku dziennym, zalewają nas dziennikarskie śledztwa, telewizyjne reportaże i bestsellery, których bohaterami są dewastujący środowisko przemysłowcy; skorumpowani bankierzy przyznający sobie kosmiczne premie, gdy ich sejfy wysysają publiczne pieniądze; producenci odzieży każący pracować dzieciom 12 godzin na dobę. Ale nawet najostrzejsze krytyki bledną w praniu – gdy się im przyjrzeć, nigdy nie kwestionują liberalno-demokratycznych ram, w jakich kapitalizm sieje swoje zniszczenia. Celem – ukrytym lub jawnym – jest poprawianie kapitalizmu pod presją mediów, prawa czy uczciwych śledztw policyjnych. Nikt nie ma zamiaru kontestować instytucjonalnych mechanizmów burżuazyjnego państwa prawa.

W tym kontekście analiza marksistowska, dziś może bardziej niż kiedykolwiek, zachowuje całą swoją świeżość. Dla Marksa kwestia wolności nie jest w polityce najważniejsza, a przynajmniej nie te jej aspekty, wedle których międzynarodowe instytucje oceniają państwo: czy organizuje faktycznie wolne wybory, czy sędziowie są niezależni, a prawa człowieka przestrzegane. Klucza do prawdziwej wolności szukać należy raczej w „apolitycznej” sieci społecznych stosunków, od tych w pracy do rodzinnych – tam, gdzie koniecznej zmiany nie

przyniesie reforma polityczna, lecz przekształcenia stosunków w aparacie produkcji. Ale nikt nigdy nie pozostawia wyborcom decyzji co kto powinien posiadać, albo jak mają wyglądać zasady zarządzania w ich miejscu pracy. Próżno się łudzić, że polityka pozwoli rozszerzyć demokrację na tereny daleko od niej odsunięte – np. organizując „demokratyczne”, kontrolowane przez obywateli banki. W tej dziedzinie radykalne przemiany pozostają poza sferą obowiązujących praw.

Zdarza się oczywiście, że owocem demokratycznych procedur są społeczne zdobycze. Jednak one też pozostają trybikami w maszynie burżuazyjnego państwa, którego rola polega na zagwarantowaniu optymalnej reprodukcji kapitału. Tak więc trzeba obalić jednocześnie dwa fetysze: „instytucje demokratyczne” z jednej strony, zaś z drugiej ich negatywną przeciwwagę – przemoc.

PRZEMOC UCIŚNIONYCH JEST ZAWSZE SŁUSZNA LECZ NIGDY KONIECZNA

W jądrze marksistowskiego pojęcia walki klas jest myśl, że „spokojne” życie społeczne oznacza zwycięstwo (chwilowe) klasy dominującej. Z punktu widzenia uciśnionych samo istnienie państwa jako aparatu klasy dominującej jest aktem przemocy. Credo liberałów: przemoc nigdy nie jest słuszną, ale czasem konieczną – zdaje się mocno niewystarczające. W radykalnej, emancypacyjnej perspektywie człony tej zasady powinny się odwrócić: przemoc uciśnionych jest zawsze słuszną – bo ich status jest skutkiem przemocy – lecz nigdy konieczną – decyzja o użyciu siły w walce z wrogiem jest wyłącznie kwestią strategii.

W obecnym ekonomicznym stanie wyjątkowym oczywiste jest, że nie mamy do czynienia z finansowym miotaniem się, lecz ze strategicznymi działaniami, starannie przemyślanymi przez władze i instytucje finansowe, które mają zamiar wyjść z kryzysu wedle własnych zasad i z korzyścią dla siebie. Jak więc w takich okolicznościach nie brać pod uwagę kontrofensywy?

Tego typu wątpliwości mogą co najwyżej zakłócić dobre samopoczucie radykalnych intelektualistów. Chroniąc swoje wygodne, bezpieczne życie czują się w obowiązku wyprodukować parę katastroficznych scenariuszy. Dla wielu z nich rewolucja, jeśli powinna się dokonać, to gdzieś daleko od ich domów – na Kubie, w Nikaragui, w Wenezueli. To rozgrzeje ich serca nie przeszkadzając w karierze. Ale załamywanie się państwa opiekuńczego w rozwiniętych, przemysłowych gospodarkach może zapewnić im chwilę prawdy: chcieli prawdziwej zmiany i będą ją mieć.

Nic nie usprawiedliwia faktu, że gospodarczy stan wyjątkowy każe lewicy zarzucić cierpliwą intelektualną pracę, bez „natychmiastowego użytku”. Powoli zanika prawdziwa funkcja myślenia – nie polegająca na próbie rozwiązywania problemów, jakie napotyka „społeczeństwo” (czyli państwo i kapitał), lecz na poddaniu refleksji samego sposobu, w jaki problemy te są stawiane. Czyli na kwestionowaniu sposobu, w jaki postrzegamy tę czy inną kwestię.

PRZEROST ŚRODKÓW I SKARLENIE CELÓW

W czasie ostatniego okresu kapitalizmu „post 1968” sama gospodarka – logika rynku i konkurencji – występowała jako przewodnia ideologia. Na przykład szkoła w coraz mniejszym stopniu jest niezależną od rynku służbą publiczną, będącą w gestii państwa, propagującą oświecone wartości: wolność, równość, braterstwo. W imię świętej zasady „większa skuteczność przy mniejszych kosztach” system edukacji dał się opanować przez różne formy państwowo-prywatnego partnerstwa. Jeśli zaś chodzi o dziedzinę polityki, system wyborczy, organizujący i legitymizujący władzę, zdaje się coraz bardziej wzorować na modelu wolnego przedsiębiorstwa – głosowanie staje się handlową transakcją, w czasie której wyborcy „kupują” artykuł najlepiej zapewniający porządek społeczny, karanie przestępców itd.

Na mocy tej samej zasady funkcje dotąd zarezerwowane dla

państwa, jak prowadzenie więzień, podlegają prywatyzacji. Nie ma już poboru do wojska, jest armia najemników. Nawet państwowa biurokracja straciła swój uniwersalny, heglowski charakter – co widać gołym okiem na przykładzie rządów Berlusconiego. W dzisiejszych Włoszech to burżuazyjna baza bezpośrednio trzyma władzę, otwarcie i bez skrupułów wykorzystując ją do ochrony własnych interesów. Nawet stosunki intymne podlegają rynkowym prawom: usługi proponowane ewentualnym przyszłym parom takie jak speed dating, internetowe serwisy randkowe czy agencje matrymonialne każą traktować się jak towar, wychwalać swoje zalety i wybierać najlepsze zdjęcia.

W takich okolicznościach sama myśl o radykalnej przemianie społeczeństwa zdaje się niemożliwym marzeniem. Ale właśnie przed tą „niemożliwością” powinniśmy się zatrzymać i zastanowić. Dziś rozróżnienie na to, co możliwe i co niemożliwe tworzy się w dziwny sposób, z takim samym nadużyciem w definicji każdego z pojęć. Z jednej strony wbija się nam do głów, że w dziedzinie rozrywki i technologii „wszystko jest możliwe” – mamy cieszyć się szerokim wachlarzem seksualnych świadczeń, Internet otwiera przed nami dostęp do encyklopedycznie uporządkowanych archiwów piosenek, filmów i telewizyjnych seriali, możemy nawet polecieć w kosmos (jeśli przypadkiem jesteśmy miliarderni). Na dodatek obiecuje się nam, że już w niedalekiej przyszłości będziemy mogli poprawiać nasze fizyczne i psychiczne cechy dzięki manipulacji ludzkim genomem. Nawet technognostyczny sen o nieśmiertelności zdaje się być na wyciągnięcie ręki – dzięki transformacji naszych tożsamości w zapisywany na twardym dysku software.

W dziedzinie społeczno-ekonomicznej przeciwnie – nasze czasy cechuje wiara, że ludzkość wreszcie dojrzała do odrzucenia starych utopii, do pogodzenia się z ograniczeniami rzeczywistości (czytaj: rzeczywistości kapitalistycznej), która najeżona jest masą „niemożliwości”. „Nie możecie” – to hasło na dziś, pierwsze przykazanie: nie możecie angażować się

w wielkie kolektywne działania, bo one prowadzą zawsze do totalitarnego terroru; nie możecie przywiązywać się do państwa opiekuńczego, bo przestaniecie być konkurencyjni i spowodujecie kryzys gospodarczy; nie możecie odcinać się od światowego rynku – chyba, że mieszkacie w Korei Północnej. Ekologia w swej ideologicznej wersji dorzuca do tej listy własne, oparte na zdaniu ekspertów zakazy – nie możemy dopuścić do ocieplenia planety o więcej niż dwa stopnie Celsjusza.

NIEMOŻLIWE SIĘ ZDARZA

Panująca dziś ideologia usiłuje przekonać nas, że radykalna zmiana jest niemożliwa, że nie da się obalić kapitalizmu, że nie sposób stworzyć demokracji nie sprowadzającej się do brudnych parlamentarnych gier, ukrywającej antagonizmy dzielące nasze społeczeństwa. Dlatego Lacan, by wyjść z tego ideologicznego zakleszczenia, zamienił formułę „wszystko jest możliwe” na skromniejsze stwierdzenie: „niemożliwe się zdarza”.

Evo Morales w Boliwii, Hugo Chávez w Wenezueli czy rządzący w Nepalu maoiści zdobyli władzę w „sprawiedliwych” demokratycznych wyborach, a nie przez zamach. Jednak ich sytuacja nie jest przez to „obiektywnie” mniej rozpaczliwa – płyną pod prąd historii i nie mogą wesprzeć się na żadnej „obiektywnej tendencji”. Mogą robić jedno: improwizować w sytuacji na oko bez wyjścia. Ale czy dzięki temu nie zyskują zupełnie wyjątkowej wolności? I czy my wszyscy, my z lewicy, nie płyniemy tą samą galerą?

Nasza obecna sytuacja jest dokładnie odwrotna do tej z początku XX w., kiedy to lewica wiedziała, co powinna robić, musiała tylko czekać na odpowiedni moment. Dziś nie wiadomo, co robić. Wiadomo jednak, że trzeba coś zrobić natychmiast, bo nasza bierność przyniesie fatalne skutki. Bardziej niż kiedykolwiek zmuszeni jesteśmy żyć „jakbyśmy byli wolni”.

Autor: Slavoj Žižek

Tłumaczenie: Anastazja Dwulit

Zdjęcie: [Joanna](#)

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)